ŁOWIEC Wielkopolski.

Ilustrowany dwutygodnik.

Organ Tow. Łowieckiego w Poznaniu, poświęcony sprawom myślistwa i rybołóstwa.

Abonament kwartalny pod opaską **2,70** mk. na poczcie **2,50** mk. bez przesyłki. **Ogłoszenia** od wiersza trzyłamowego petytem na pierwszej stronie **20** fen., na dalszych stronach **15** fen. — Adres Administracyi Łowca: Dziennik Poznański, Poznań — Posen.

Artykuły, które mają być w najbliższym numerze umieszczone, uprasza się nadsyłać 14 dni przed wyjściem pisma. — Rękopisów się nie zwraca. Adres Redakcji Łowca: **Wł. Janta-Połczyński, Redgoszcz p. Rombschin.**

Nr. 19. **Poznań, dnia 1-go Stycznia 1908.** **Rok I.**

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Do Towarzystwa Łowieckiego w dalszym ciągu przystąpili:[1])

1) Stanisław Breza z Smuszewa,
2) Wiesław Trąmpczyński z Jaktorowa,
3) Zygmunt Chłapowski z Stawian,
4) Michał Robiński z Radomna,
5) Kazimierz Czochron z Jaktorowa,
6) Mieczysław Chłapowski z Glesna,
7) Stanisław Zakrzewski z Droszew,
8) Józef Speichert z Białobłot,
9) Stefan Kęszycki z Błociszewa,

Uważamy sobie za obowiązek zwrócić uwagę nie tylko członkom Towarzystwa Łowieckiego ale i wszystkim czytelnikom jako i interesowanym na dział anonsowy pisma naszego.

Takowy nie jest wyzyskiwany w tym stopniu jak być powinien i jak na to bezwarunkowo zasługuje. Wprawdzie organ nasz nie jest tak rozpowszechniony, jak inne codziennie wychodzące pisma, ma wszakżesz przed temi pierwszeństwo, iż znajduje się w ręku czytelnika czas dłuższy, a przedewszystkiem, że czytany bywa przeważnie przez obywatelstwo ziemskie, właścicieli lasów a nadto przez wszystkich zajmujących się sportem myśliwskiem.

---

[1]) Wymienia się tym porządkiem, w jakim zgłoszenie do Wydziału nastąpiło.

Ileż więc jest artykułów nadających się do polecenia w organie naszym, łatwo ocenić.

Nie tylko więc polecać można wszelką broń i przybory myśliwskie, ale i wszelkie do sportu tego należące artykuły, jak ubrania, obuwie, rękawiczki itp. nadto polecenia leśnictwa tyczące, jak wyręby leśne, wysadki, drzewa alejowe itp.

Dalej wszelki inwentarz, psy myśliwskie i inne, jako i zboża i artykuły z rólnictwem w związku stojące.

Ażeby dać sposobność przekonania się o skuteczności ogłaszania w »Łowcu« postanowił Wydział dla każdego z swych członków udzielenia bezpłatnego anonsu w wysokości pięciu marek.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego.

Strzelectwo w zastosowaniu do myślistwa.

Główne warunki celnego strzału śrótówką.

Przez Orlińskiego.

Pisząc artykuł o celnem strzelaniu śrótówką, miałem głównie na uwadze strzelbę i jej budowę. Zaprzestając na tem, praca moja byłaby tylko połowiczną. Celne strzelanie śrótówką bowiem, stawia nie tylko pewne warunki strzelbie, a te nazwałbym negatywnemi, ale stawia także pewne warunki strzelcowi, które nazywam »pozytywnemi.« Poruszyłem wprawdzie już w numerze 18 »Łowca« to i owo z onych »pozytywnych« warunków. Rzecz wszakże wymaga pewnego skompletowania.

Z tego, co powiedziałem o szybkiej, lub powolniejszej działalności nerwów, rozmaitej u rozmaitych, a którą nazwaćby można »subjektywną wadą« osobnika, wypływa, że celny strzał do uciekającej zwierzyny suponuje »wyprzedzenie« jej przy mierzeniu do niej. Rozróżnia się dwa sposoby »wyprzedzenia«.

Pierwszy polega na tem, że strzela się w przestrzeń, t. j. miejsce przez zwierza dotąd nie zajęte, ale gdzie według własnego ocenienia i kombinacyi celującego uciekająca zwierzyna i śróty się spotkają.

Przy drugim natomiast sposobie strzelba, prawidłowo do zwierzyny złożona, »idzie«, albo »ciągnie« nią myśliwy przez pewien czas, zanim strzał padnie.

Ta metoda pewnie ogólnie jest używaną, choć znam doskonałych strzelców, którzy wolą pierwszy sposób; condicio wszakże sine qua non do tego jest nadzwyczaj mała »wada subjektywna«. Kto »wyprzedza« zwierzynę bez żadnego rzutu strzelbą w kierunku jej lotu lub biegu (pierwszy sposób), musi się liczyć najprzód z czasem, potrzebnym do zdecydowania się, jak daleko »wyprzedzać«, z czasem upływającym, zanim strzelbą się złoży, i z czasem, który potrzebuje śrót, zanim dojdzie do celu. Dla strzelców z większą »wadą subjektywną« jest sposób ten niepraktyczny

dla przestrzeni nienaturalnie wielkiej między zwierzyną a miejscem, do którego w takim razie mierzyć muszą. Przy normalnej bowiem chyżości ptaka 14—16 m. na sekundę, strzelec z większą »wadą subjektywną« musiałby na 20 kroków dystansu »wyprzedzać« o 2 przeszło metry, na 30 kroków dystansu o przeszło 3, a przy 40 krokach o całe 4 metry; strzelać zaś z małą »wadą«, czyli szybką działalnością nerwów znacznie mniej.

Inaczej ma się sprawa, gdy się używa drugiego sposobu »wyprzedzania«.

Jeżeli bowiem nawet przy strzale nie ustaje ruch strzelby ścigającej zwierzynę, natenczas strzelec liczyć się musi głównie tylko z czasem potrzebnym, aby śrót doszedł do celu. Podnoszę wszakże z szczególnym naciskiem, że błędem wielkimby było, gdyby ktoś stąd wnioskował, że przy ogromnej szybkości śrótów nie potrzeba w tym przypadku znaczniejszego »wyprzedzania«. Nie należy zapominać, że śrót potrzebuje około $^{15}/_{100}$ sekundy, zanim przeleci dystans 40 kroków; potrzeba zatem, licząc teoretycznie, »wyprzedzać« i przy tym sposobie zwierzynę, strzelając n. p. na 40 kroków, jeszcze o 2,25 metrów. W praktyce okaże się miara ta zbyteczną, można nieco mniej daleko »wyprzedzać«, ponieważ śróty z strzelby, »ciągnącej« przy strzale ze zwierzyną, podlegają dwom siłom, — jednej, powodowanej owym nieustającym nawet w strzale ruchem strzelby, która je pcha w bok, właśnie w kierunku lotu zwierzyny. Dodać tu wypada mi, że przy silnym wietrze potęguje się bardzo znacznie chyżość lotu ptaka, tak, że przeszło 20. m. na sekundę wynosić może. W takim razie oczywiście i miara »wyprzedzania« znacznie musi być większą.

Chyżość ptaków, na które u nas polujemy, jest mniejwięcej równą. Wyjąwszy może bekasa, nie tyle dla większej szybkości lotu, ile raczej dla jego nieregularności, kuropatwa, bażant, cietrzew, kaczka nie odróżniają się bardzo znacznie w szybkości. W Anglii zrobiono chronograficzne porównanie lotu kuropatw, bażantów i gołębi przy powietrzu spokojnem. Pokazało się, że najszybszym był bażant, po nim gołąb, po nim kuropapatwa. Różnice wszakże były prawie minimalne. —

Wracając do tematu, należy mi zwrócić uwagę strzelca, używającego drugiego sposobu »wyprzedzenia« (»strzelba« ciągnie razem z zwierzyną) na dwie ważne reguły, których zaniedbywanie zawsze mścić się będzie. Błędem, który najczęściej powoduje chybienie, jest raptowne wstrzymanie strzelby w chwili strzału. Strzelba powinna wciąż, nawet przy samym strzale jeszcze być w onym ruchu w kierunku zwierzyny; ktoby »ciągnął« z zwierzyną, a w momencie strzału wstrzymał rzut strzelby, musi wiele dalej »wyprzedzać«, aniżeli myśliwy, strzelający, zanim ów ruch w kierunku lotu zwierzyny ustał.

Drugim błędem jest fałszywy sposób spuszczania kurka. Niejeden pociąga za cyngiel poruszając równocześnie całą ręką: następstwem tego jest przesunięcie się linii wizerowej — i pudło. Prawa ręka powinna silnie obejmować obsadę w ten sposób, że palec wskazujący sam jeden tylko w momencie strzału się porusza końcowym członkiem swoim. Przyczyną tych dwóch błędów w momencie wystrzału jest, nie zawsze wpraw-

dzie, ale często, objaw, polegający na nerwowej jakiejś obawie przed słupem ognia wybuchającym z lufy i detonacyi strzału. Nie lubimy w polskiem wyrazów składanych, biorę do pomocy okruchy greki, jakie mi jeszcze pozostały z studyów gimnazyalnych, i nazwałbym objaw ów »pirofobią«. Wielka liczba myśliwych, młodych i starych, podlega wadzie, że w chwili strzału w jakimś lęku nerwowym zamyka obydwa oczy, co nader często powoduje owe dwa błędy, o których wyżej była mowa. Niejeden strzelec nie wie wcale o tem, u niejednego znowu wada ta tak jest rozwiniętą, że nerwowe drgania powiek, posunięte aż do zupełnego chwilowego przymknięcia ócz, objawia się nawet przy spuszczaniu kurków u strzelby wcale nie nabitej. Odzwyczaić się od tej wady jest rzeczą bardzo trudną; znam myśliwych, którzy się długi czas męczyli nad usunięciem jej, a mimo natężenia całej siły woli nie zdołali się pozbyć jej na dobre. »Pirofobia« i pod innym względem jeszcze jest objawem ujemnym. Po każdem chybieniu powinien myśliwy, zwłaszcza początkujący, zdać sobie sprawę, dla czego chybił. Tylko wtenczas są widoki, że w przyszłości, poznawszy błąd, dołoży starań, aby go uniknąć. Strzał do uciekającej zwierzyny kontrolować może tylko strzelec sam — wszelkie wskazówki i dobre rady ze strony współtowarzyszów nie mają wielkiej wartości. Chociażby nawet rospryskujące grudki ziemi lub śniegu znaczyły miejsce, w które strzał ugodził, to i wtenczas jeszcze współtowarzysz rzadko kiedy służyć może odpowiednią wskazówką; stojąc bowiem w pewnej odległości od strzelającego widzi efekt strzału pod zupełnie innym kątem horycontalnym, aniżeli strzelec sam, i łatwo zdarzyć się może, że stawia dyagnozę, iż strzał padł za zwierzyną (bo tak mu się rzecz z jego miejsca przedstawia), podczas kiedy w rzeczywistości miara »wyprzedzania« była bardzo dobra, tylko strzał nie dosięgnął zwierzyny, strzelec był powinien wyżej podnieść strzelbę, strzał był »za krótki«. Tu sam strzelec tylko pomódz sobie może, dokładnie bacząc przy następnym strzale, dokąd w chwili ognia wskazuje ziarno na strzelbie. A jakżeż on to sprawdzi, skoro podlega »pirofobii«? Widać ztąd, że zaraz z początku należy pilnie na tę wadę zwracać uwagę i walczyć z nią, skoro jest powodem tylu błędów. —

(Dokończenie nastąpi.)

* * *

Według naszego zapatrywania z „strzałolęku" jakbyśmy po polsku wyraz ten utworzyli — a który Szan. autor nazywa „pirofobią" wyleczyć się można przedewszystkiem częstem strzelaniem.

Najprzód używając do tego kapiszonówki z nałożonym tylko kapiszonem, bez prochu, później dodając małą dozę prochu, aż do normalnej siły.

Jest to gra nerwów, które żadnem lekarstwem uspokoić, a tylko długim, a częstem użyciem strzelby, powiększając siłę huku, zmniejszyć można.

„Strzałolęk" jak to autor słusznie zauważył, zdarza się u najstarszych i najwytrawniejszych myśliwych — a uwydatnia się najbardziej przy strzale do siedzącej zwierzyny, a więc gdy strzelec ma czas do zastanowienia się a nerwy do wyczekiwania mającej nastąpić detonacyi. To też myśli-

wym z tą wadą, przedewszystkiem zalecać należy nie „ciągniony“ sposób strzelania do biegnącego zwierza, lecz strzał „uprzedzający“, który daje najmniej sposobności do działania nerwów. Strzał „uprzedzający“ czyli właściwie „rzucony“ następuje tak prędko, tak mało daje czasu do zastanowienia, nerwom do wyczekiwania chwili strzału i detonacyi, iż „pirofobia“ znika w tym wypadku zupełnie.

Przyp. Redakcyi.

Zima nadchodzi.



Drzewko gwiazdkowe dla kuropatw.

W artykule »Zima nadchodzi« z wielką znajomością opracowanym przez p. F. Skoraczewskiego, który drukował »Łowiec« w ostatnich trzech numerach, jest wzmianka o budkach z gałęzi sosnowych. Podobiznę takowej podajemy dzisiaj i polecamy ją naszym chodowcom, dla naszych kur i bażantów, jako spóźniony podarek gwiazdkowy; w obecnej ciężkiej zimie jeszcze bardzo na czasie.

Matecznik łochojski.

Z wspomnień starego myśliwca

przez Dryję.



Od pierwszych zaczątków w literaturze myśliwskiej czytamy ciekawe i pouczające rzeczy, a zawsze pełne humoru i fantazyi, może czasem i ponad rzeczywistość upoetyzowane jak się nam epigonom wielkich rycerskich protoplastów zdaje, pomimo to są to rzeczy piękne, które bawią i rozśmieszają.

W czasach dzisiejszego realizmu, gdy zanik poezyi jest ogólnym nawet u młodzieńczego wieku, sucha jest łowiecka literatura nie ożywiona ogniem poezyi, humoru i fantazyi, jest jak obraz bez kolorytu, jak piękna dziewica bez rumieńca.

Jak wielkim geniuszem był Mickiewicz świat cały to przyznaje, lecz w szczegółach nie jeden nie wie, że nigdy strzelby nie miał w ręku i nigdy śmierci nawet szaraka nie miał na sumieniu, pomimo to, on najpiękniej upoetyzował polowanie i różne tegoż sposoby, opisał puszcz litewskich dzieje, wyidealizował Świtezi brzegi i topiele i przepastne krainy i ostępy, gdzie człowiek przed trudem i trwogą śmierci niechce zajrzeć na cmentarzysko Matecznika, gdzie siwobrode żubry, niedźwiedzie, żarłoczne rosomaki, dziki, wilki i łosie rogale zawodzą radości czy smutku żale, gdzie na starość, gdy są bliscy śmierci, ptaki składają swe pióra, czworonogi sierci.

Było to przed 32 laty, byłem w pełni sił fizycznych, pełen animuszu i junakerji na zabój, że tak rzeknę oddawałem się imprezom myśliwskim po wszystkich częściach obszernej Polski, zawdzięczając stosunkom pokrewieństwa i licznej znajomości. Im większe trudy, niebezpieczeństwa i przeszkody, tym większa przyjemność i radość z osiągnionego ubicia niedźwiedzia, łosia lub rysia, większej ilości dzików i wilków, lub drapieżnych ptaków. W puszczy Małogórskiej, w kniejach Reńdzińskich, Kotwińskich, w bezbrzeżnych lasach Stanisławowskich, w matecznikach Łochojskich, wiele to przeszło się rozkoszy prawdziwe uczucia myśliwskie zadowalniających, tego opisać dzisiaj już nie jestem w stanie, powołać się na świadectwo towarzyszy... niestety wielu już na drugim świecie. Jeden tylko obrazek z tej dalekiej przeszłości nie zatrze się w mej pamięci do końca życia.

Bawiłem wtenczas w gościnie w Łochojsku w głębokiej Litwie u hr. Oskara Tyszkiewicza i używałem przez dwa tygodnie pełną duszą uciech myśliwskich w ogromnych obszarach i leśnych i błotnych. Było w końcu listopada, płaty śniegu leżącego po gołaźniach leśnych znaczyły tropy grubej zwierzyny na jaką polowałem, psów codziennie zapuszczano kilkunastu, muzyka grała od świtu do nocy melodją harmonijną, raz andante, raz alegro, miałem dzielnych przewodników po niebezpiecz-

nych przeprawach moczarów leśnych; zwierzyny huk, więc ciągłe emocye, co za gatunek zwierza wypadnie. Raz stojąc w przesmyku leśnym na łosia, ciekawie nasłuchuje za ujadaniem psów, gdy wypada w poprzek ogromny odyniec. Miałem moją dwururkę nabitą kulą, a drugą lufę grankulkami złączonemi z sobą drutem i zalanemi łojem w tulejce, pale najpierw tymi grankulkami już czasu nie mając dobrze się zmierzyć i poprawić kulą, byłem jednakże pewnym że strzał był celny. Pobiegłem na ślad. Może po 20 krokach pierwszą znalazłem farbę, która dalej więcej się jeszcze znaczyła z lewej przedniej łopatki. Była godzina blisko trzecia, słońce raz poraz przyświecało wśród śnieżycy która pruszyć poczęła, pędzę w zapale przez coraz to gęstsze zarośla nie słysząc sygnałów trąbki, ani też ujadań psów, oddalam się od mych towarzyszy w stronę przeciwną, a pogoń moja i poszukiwanie tropu coraz uciążliwsze, prawie już niemożliwe.

Wśród bagien i przepadlisk, w bujnej florze leśnej ukrytych, leżały całe kłody wykrotów, rzucone tam kiedyś podczas szalejącej burzy w chaostycznym nieładzie, jedne na drugich. Na kłodach tych w fantastycznych grupach rosły grzyby i paprocie, pięły się bluszcze i liczne powoje Ściana ta stawała się coraz gęstsza, tamowała mi każdy ruch, tamowała nawet promień światła, okalając wszystko pomrokiem.

Przez gąszcze te darłem się, torując sobie drogę kordelasem z ostatnim wysiłkiem.

Nagle czuję pod sobą spód twardy, robi się przestronniej, swobodniej, przedemną otwiera się polanka cała w zieleń majową strojna, parę mórg może obszerna, w koło nieprzebytą gęstwiną i starodrzewiem okolona.

Stanąłem na brzegu jak wryty. Zdawało mi się, że dostałem się w świat obcy. Takie majestatyczne zjawisko przyrody, w środku pięknym, szklistym lazurem wody ozdobione, pełne powagi i smutku.

W posępnym lesie jodłowym, przy promieniach zachodzącego słońca, leżały w kilku miejscach porozrzucane szkielety bielących się kości żubrów, łosi lub niedźwiedzi — odgadnąć trudno — dalej wesoło bawiące się ze sobą trzy dziki i dwa lisy, które jak psiaki łasiły się, igrając podskakiwały ku owym dzikom, obrazek ten dopełnił jeszcze z boku poważnie na ogonie siedzący wilk z zwieszonym łbem, zbiedzony i wychudzony, zsiwiały z starości, wyzbywszy się z iluzyi życiowych, zapewne bez kłów i pazurów — sine unguis et rostro — przyszedł tu zawyć ostatnie sobie requiem i złożyć sędziwe swe kości na tym mogilniku.

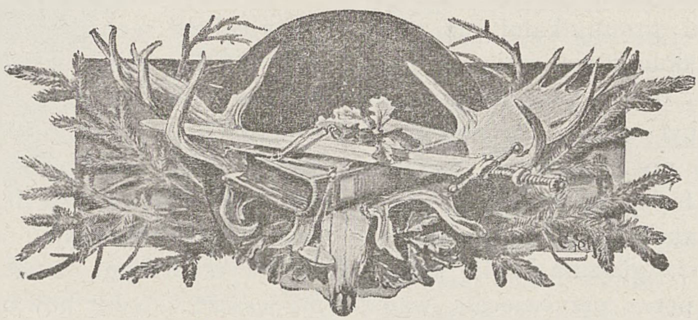
A nad tym obrazem, jedynem w świecie, kołujące kruki, żarłoczne czarne potępieńce, wszystkiego złego wróżbity, śledziły chciwie, czy już nie czas szarpać stygnące oczy i krakały pieśń żałobną de profundis, a wtorował im gdzieś w dali przeraźliwy śmiech leśnego puchacza, naśladujący głos ludzki.

Widząc to wszystko, przypomniałem sobie opis matecznika w IV księdze Pana Tadeusza, tego cmentarzyska zwierząt i wrażenie moje było tak wielkie, potężne, a tak smutne, że nawet nie zrobiłem użytku z mej broni, nie naruszając spokoju na tym kurhanie pamięci stworzeń boskich. Dzisiaj jeszcze, gdybym był rysowni-

kiem, mógłbym wrażenie to nigdy w mej pamięci nie zatarte — upamiętnić jakim obrazem.

Słońce dawno już zaszło, a ja długo jeszcze stałem medytując nad pięknością przyrody, nad smutkiem i weselem świata, nad zagadką życia, na grobach dzikich nieprzyswojonych zwierząt. Giną gdzieś bezwiednie, czasem tylko przez archeologów odnalezione szkielety, po topielach lub piaśnicach zaginione okazy z czasów aluwialnych, świadczą o ich życiu ku nauce i ciekawości żądnych wiedzy generacyi dzisiajszych.

Z zadumy tej wyrwały mnie dopiero odległe sygnały towarzyszy.



Obyczaje myśliwskie.

Kary pieniężne

(Ciąg dalszy)

przez W. J. P.

Kary pieniężne na polowaniach są u nas obecnie mało w użyciu, a jeżeli w wyjątkowych razach kto był obecnym nałożeniu ich przez kierownika polowania ten niezawodnie zauważył, iż przyjmowane one bywają z rozmaitemi uczuciami, ale z objawu tego byłby zupełnie błędnym wniosek, iż nie należy im się prawo obywatelstwa.

Przeciwnie nie tylko że nagana w ten sposób udzielona, jak to już wyżej powiedziałem, mniej jest przykrą niż w innym razie konieczne ostre wystąpienie, ale i jednocześnie wywierają one znakomicie wpływ wychowawczy.

Ktoby ostatecznie w opozycyi swej przeciwko nim chciał być konsekwentnym, zaprzeczyć wogóle by musiał właścicielowi polowania prawo wyrażenia jakich życzeń lub dyspozycyi, a tym mniej udzielenia jakiejkolwiek nagany. Pewną w tym razie jest rzeczą, iż podobne żądanie do niebywałych prowadziłoby następstw, tym więcej iż na wielu naszych polowaniach spotkać niestety można pewien kontyngent myśliwych, którzy się na takowych zebrali z rozmaitych względów — najmniej wszakżeż na podstawie zasługi na polu prawidłowego myślistwa.

Przeważnie względy towarzyskie spowodowały do proszenia niejednego, którego obecność przy takich okazyach, jest co najmniej pożądana. Powody do tego są rozmaite.

Naprzód liczyć się należy ze względami sąsiedzkimi, poprosić z okazyi takiej wszystkich tych, u których się bywa i zachowuje stosunki towarzyskie. Dalej, jeżeli panny są w domu, należy pomyśleć o wieczornej zabawie, sprasza się więc i młodzież do tańca.

Niektórzy idą wreszcie tak daleko, iż zapraszają mężów odpowiednich na partnerów do preferansa lub wista. Że przy kierowaniu się podobnemi względami więcej fryców się zbierze jak myśliwych, to rzecz jasna i jakżeż z takiem pospolitem ruszeniem bez odpowiedniej dyscypliny i regulaminu przyjść do ładu?

Wyznaczenie kar samo wszakżeż niema znaczenia, jeżeli nie jest konsekwentnie przeprowadzone.

I to jest punkt może najtrudniejszy, a zwłaszcza zanotowanie pierwszego przestąpienia regulaminu — jest może najwięcej nieprzyjemnym i dla każdego to pierwsze zapisanie w listę kar drażliwem. Ale i tu zręcznym fortelem można sobie dopomódz, jeżeli kierownik polowania umówi się z dobrym znajomym i myśliwym, iż ten jako pierwszy samowiednie jakie małe popełni przestępstwo np. przyzna się do pudła lub strzału za dalekiego.

Skoro ogół myśliwych widzi, iż początek notowania kar rozpoczęty i że na czele tej listy stoi myśliwy, który posiada renomę, przyjmie i następne włożone na siebie kary bez szemrania, a nawet każdy z uczestników pilnować i kontrolować będzie ich przeprowadzenie. Tym łatwym sposobem uczynić je można popularnymi.

Jako rzadki przykład konsekwentnego przeprowadzenia wyznaczonej kary, posłużyć może zabawne zdarzenie, którego naocznym byłem świadkiem.

U pana R. w O. było dobre polowanie, na które stawiała się zwykle liczna drużyna myśliwych. Wyznaczał on kary za zabicie sarny 25 talarów. Kara jak widzimy, wysoka — ale »szlachta« wówczas miała więcej pieniędzy jak dziś, więc przyjmowała to ad notam i bez szemrania. Kara ta długo też skutkowała wybornie i stała tylko na papierze, aż przecież zdarzyło się, iż jeden z sąsiadów, dobry przytem przyjaciel gospodarza, ubił kozę. Wszelkie jednak starania wydobycia owych 25 talarów z lekkomyślnego strzelca okazały się bezskuteczne, wszelkie monita zbywał dowcipkami i żartami.

Przeszedł rok i nadeszło drugie polowanie; o owem zdarzeniu zapomniano już prawie, ale nie zapomniał o tem p. R., który tym razem mimo dalszych najlepszych stosunków owego strzelca na polowanie nie zaprosił.

Byliśmy w dniu oznaczonym już w lesie, naganki rozstawiono, gdy w tem w całym pędzie koni zajechał wózek, a z niego wyskoczył z przewieszoną strzelbą przeszłoroczny niefortunny myśliwy.

— Julku, a ty co tu chcesz? woła gospodarz.

— Widzisz, przyjechałem na polowanie.

— Kiedy ja ciebie nie prosiłem.

— Bajesz Michale.

Na ten argument p. Michał nic nie odpowiedział — strzelców ustawił — naszego Julka wszakżeż jakby nie widział, tak że ten ostatecznie sam zajął stanowisko jako ostatni na skrzydle. Obława ruszyła — zajęcy było huk — strzały padały gęsto i p. Julian przyszedł do strzału, kilka kotów leżało przed jego stanowiskiem.

Zrobiliśmy rozkładne, naganiacze ułożyli szaraki w długi szereg, gospodarz dysponował przyciszonym głosem leśniczemu drugie pędzenie, ale jakoś bardzo długo i obszernie, a my-

śliwi tymczasem rozmawiali w różnych grupach o szczegółach pędzenia tego lub dawniejszych zdarzeniach myśliwskich. Do tychże przyłączył się i ów gość nieproszony i oparłszy się o strzelbę opowiadał we właściwy sobie głośny sposób różne facecye myśliwskie. W tem silnym i zręcznym ruchem wyrwana z pod rąk jego strzelba znalazła się w ręku leśniczego. »Konfiskuję za nieprawne polowanie!« zawołał.

Ogólna salwa śmiechu przywitała to energiczne wystąpienie. Pan Julian z rzadką miną sięgnął do portmonetki i w taki sposób »Pomoc naukowa« przyszła do długo wyczekiwanych 25 talarów. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Listy do Łowca.

Z Małorusi.

Niespodziankę wielką zgotował mi los, przenosząc mnie z Księstwa aż na Małoruś, — w północnozachodni zakątek guberni kijowskiej.

Z prawdziwym żalem żegnałem więc knieje kórnickie, skąd tyle ciekawych wrażeń, tyle wspomnień miłych, wzbogaciło moją tekę myśliwską. —

Lecz z lasem i zwierzyną nie miałem się i nadal rozstać; prace taksatorskie w rozległych lasach Chabeńskich zapewniały mi wszelką sposobność zapolowania na różnego zwierza i poznania myśliwstwa tamtejszego.

Bądź co bądź, zawsze liczyłem na utile dulci, a takie budując horoskopy, nierozpaczałem bynajmniej, przerzynając parowozem Królestwo i kraje zabrane, ale śledziłem z ciekawością te nieznane mi strony naszej polskiej ziemi. — Niestety, zbyt rychło przekonać się miałem, że marzenia moje były przedwczesne. Zastałem las prawie że martwy — bez zwierzyny.

Przemierzywszy już jednę część lasu, stanowiącą oddzielną całość (16000 mórg magd.) przekonałem się dowolnie o dogodnych warunkach dla różnego gatunku zwierza łownego. Las w jednym kompleksie: 14 wiorst długi i przeciętnie 4 wiorsty szeroki, składa się z drzewostanów sosnowych, przeważnie starszych ale z bujnem podszyciem sosny — brzozy, i w części z starszych drzewostanów dębowych z podrostem grabu — olchy — brzozy — osiki — leszczyny itd. Polanek i sianokosów, większych i mniejszych, mokrych i suchych jest w owym lesie bardzo wiele, a nawet i rzeczka krętem korytem przeciska swoje wody. Las poznałem co do joty; niemasz w nim zakątka do którego niebyłbym zajrzał. I dziwna rzecz, w przeciągu mych trzechmiesięcznych prac, ani jednej sztuki grubego zwierza nie widziałem a ucieszony raz widokiem pomykającego szaraka i zapytawszy robotnika: czy wiele jest zajęcy w lesie, — odebrałem zabawną odpowiedź, illustrującą tak dosadnio tutejsze gospodarstwo leśne. Właściwym sobie tonem żartobliwym odpowiedział mi tenże robotnik: to tylko toj jeden jest w lisi, kotoroho panycz baczyły, bo toj druhij chowajecia hilsze na muzyckim — (to tylko ten jeden jest w lesie, którego panicz widzieli, bo ten drugi ukrywa się więcej na chłopskiem).

Lecz nietylko w lesie, ale i na polach (ziemie żytnie) pustki — kuropatwa i zając rzadki. O kłusownictwie w tychże stronach nic nie słychać, jedyna więc wina spada na administrację, która na tak wielkiej przestrzeni jak 70000 morgach, mogłaby zwierzostan wcale wspaniały utrzymywać.

Jeleni niepamiętają tu już od lat trzydziestu, sarny zaś giną — raczej rokroczne pożary leśne w dalekie zapędzają strony. W lecie i jesieni, jak tylko czas posuchy nastanie, tak codziennie, gdzie tylko spojrzeć, unoszą się kłęby dymu po nad lasami — palą się lasy pańskie i chłopskie — palą się torfowiska. Ma się rozumieć, że chłopstwo podpala, spodziewając się w następstwie — lepszych równiejszych zagajeń, a co najważniejsza — dobrych pastwisk.

Z ciekawością i uciechą przeniosę się do drugiego lasu — o piętnaście wiorst dalej — gdyż mam już prawdziwą nadzieję zapolowania tamże na wilki — dziki i cietrzewie z wiosną. Otem zaś później. — Śnieżek pruszy.

Gdy u was w Księstwie, na ponowiu, tysiące i miljony tropów i śladów zdradza mnogość zwierzyny — napawa oko i serce myśliwego — u nas — jeden i jeden tylko niezapisany biały całun, jakże smutnie o niezamieszkałym lesie świadczy.

Chabno w grudniu 1907.

Cześć myśliwcom Wielkopolskim!

Jan Spychalski.

* * *

Z Algieru.

Sądzę, iż zainteresują czytelników „Łowca" niezwykłe łowy, którym miałem sposobność oddać się w podróży mej do Algieru.

Z Tryestu do Reki jadąc zauważyłem podczas sirocca, który nas w drodze napadł krótko po naszym wyjeździe, stada delfinów. Nie mając innej broni pod ręką, chciałem do nich strzelać z rewolweru. Odwiedziono mnie od tego zamiaru tłomacząc, że strzał niepewny, po drugie trafionej ryby z powodu niemożliwego kołysania się statku na pokład dostać niepodobno. Musiałem czekać stosowniejszej chwili, jakkolwiek myśl zdobycia tak wielkiej ryby spokoju mi nie dała.

Stojąc na kotwicy w Bergudi, widziałem ogromne stado tych wielkich ryb, może $2^1/_2$ mili od brzegu, pluskające się i wyskakujące z wody. Wsiadłem do łodzi, wziąłem harpuny — cóż kiedy z naszem zbliżaniem się, zmieniały miejsce swego pobytu i uchodziły coraz dalej i dalej. Goniłem za nimi wzdłuż brzegów Abazzyi przez parę godzin, widząc jednak, że je nie podjadę, wróciłem zmarnowany na statek (było blizko 30 stopni wyżej zera.) Z Fiume do Wenecyi delfiny się nie pokazały. Wjechaliśmy bowiem w mgłę gęstą a bojąc się kolizyi z innym statkiem, na kotwicy stać musieliśmy przez godzin kilkadziesiąt. Miałem sposobność obserwowania stad dzikich kaczek błąkających się w sznurach, to znów zbijających się w bezładne gromady. Skowronki, muchołówki i ziemby w stadkach do kilkanaście sztuk, a ptaki z gatunku drozdów pojedyńczo siadały na chwilkę na nasz statek lub krążyły nad nim, aż je syrena odzywająca się co circa 2 minuty nie spłoszyła. Siwe pliszki jedyne co sobie nic z ludzi i syreny nie robiły i promenowały na pokładzie statku chwytając muszki i inne owady.

Dnia następnego widziałem znowu liczne stadka ptaków ciągnące z Włoch ku brzegom Sycilii, między niemi 3 przepiórki, kilka drozdów i zimorodka, którego uważałem do tego czasu za ptaka sfer północnych.

Delfinów jak nie widać tak nie widać; nareszcie dnia 3 listopada zauważyłem ich kilkanaście na przodzie naszego statku. Rzuciłem po 2 razy harpuną — bez skutku, ponieważ nie miałem wprawy w taksowaniu głębi przezroczystej wody morza tyreńskiego — harpuny ryb nie dosięgły. Już traciłem nadzieję i przypuszczałem, że znowu dni parę na dogodną sposobność rzucenia harpunu czekać mi przyjdzie, gdy naraz tuż przy statku trzy sztuki się pokazały i równo z nim płynęły, raz po raz z wody wyskakując. Rzuciłem harpun — za krótko; drugi harpun za największym delfinem może ze 300 funtów ważącym, z lepszym skutkiem. Lina harpunna szamotać się zaczęła; wiedziałem już, że trafiłem dobrze. Przy pomocy ludzi wyciągliśmy rybę na pokład. Wydało się, że ryba ważyła dobry centnar i przez przypadek tylko, harpunem ugodzoną została zaraz przy nasadzie głowy, gdy ta na którą rzucałem, wcale trafioną nie została. Jutro mamy mieć z niej pieczoną wątrobę i zrazy, na które się załoga cieszy a od których specyałów ja się wyprosiłem, mając wstręt do zwierzyny przez siebie samego ubitej lub ułowionej.

P. S. Po napisaniu tegoż skłułem jeszcze 2 delfiny, lecz ponieważ mięso ich prócz wątroby tak tranem czuć, że jeść nie podobna, uważam sport taki za nie myśliwski i nie prawidłowy i więcej harpunować nie będę.

Algier 2. 12. 07. *Szeliga.*



Terminologia łowiecka.

5. Zając.

I. Nazwy.

Zając = lepus timidus, der Hase.

Bielak = odmiana zająca, (lepus variabilis), który na zimę zupełnie bieleje.

Jepus, koszlon, kopyra, kot, skotak, ślepak, śpioch, wacho, wachon, wytrzeszczak = różne miejscowe nazwy zająca.

Gach = zając samiec w czasie parkania się.

Gracz = stary zając, który zręcznie miesza tropy i psy zwodzi.

Korpał, korpal = nazwa zająca na Podlasiu.

Kocię, kociak = młody zając od pory roku, marczak, wrześniak.

Marczak = marcowy t. j. w marcu urodzony.

Metr = stary, tak obrotny, że go uszczuć trudno.

Nazimek, nazimiec = jesienny z ostatniego wykocenia.

Szarak = szary zając.
Żak = który nie umie ukrywać się dobrze przed psami.
Bobki = odchody zająca,
Chałupa = tak myśliwi nazywają wielką kotlinę. Takie kotliny zające robią, kiedy blizki mróz czują.
Głuszyć = dobić uderzeniem ręki pod słuchy.
Kotlina, kotowina = miejsce gdzie spoczywa.
Kot Sasa = głos dojeżdżaczy za zającem, którym psy do gonienia zachęcają.
Kotna = płód nosząca samica zając.
Kluczownik = który często kluczy w biegu.
Łapy liże kot = mówi się o zającu który uciekł.
Przenożenie = przetknięcie lewego zadniego skoku pomiędzy ściągacz i piszczel prawego skoku.
Pomkły = ostrożny i za najmniejszym odgłosem z daleka uciekający zając.
Przesmyk = miejsce kędy zając przemyka.
Skromny = tłusty.
Ślad = ścieżka zająca.
Wymykać, wymknąć = mówiąc o zającu, kiedy wypłoszony został z kotliny.
Zaśnieżyć = dać się śniegiem przysypać.
Zakopać się = mówiąc o zającu, kiedy go śnieg zawieje.

II. Części ciała.

Blaski = oczy.
Kosmyk, osmyk, omyk = ogon.
Kożuch, smuż = skóra.
Myrsy, myrzy = wargi.
Patry = oczy.
Patrochy wnętrzności.
Skoki = nogi.
Skrom = sadło lub tłustość.
Słuchy = uszy.
Ślepie = oczy.
Smuż = patrz kożuch.
Strugi = zęby,
Strzyże = wąsy, węższe i gęstsze strzyże ma na podbródku.
Trzeszcze, wytrzeszczaki = oczy.
Turzyca = włos pokrywający skórę.
Wytrzeszczaki = patrz trzeszcze, patry.

III. Czynności.

Cmić = gdy zając pokazuje się bardzo daleko.
Kicać = zając idąc chociaż najwolniej, podskakuje co się nazywa kica.
Kipić = biedz prędko; zając kipi — znaczy pędzi w największym biegu. W tem samem znaczeniu używa się wyrażenie: kładzie się po sobie.
Klapanie = samica zając klapaniem, czyli uderzaniem słuchów o siebie, zwołuje swoje młode potomstwo.
Kniazi = kiedy jest w ręku mocno ściskany albo przez psa schwytany wydaje głos podobny do płaczu małego dziecka, co się nazywa — kniazi.
Kocić się = płód wydawać.
Krzyczeć = głos wydawać, mówiąc o zającu, kiedy go psy duszą.
Kluczyć, klucze robić = zając kluczuje przed spoczęciem w kotlinie t. j. robi dwa razy skoki w tył i w bok, aby zmylić i pomieszać swoje tropy przed śledzącym go nieprzyjacielem.
Kluczenie = wypełnienie klucza przez zająca.
Kominek = podskok n. p. zając dał kominka.
Kołkować = gdy w miejscu staje i słucha.
Łamać = bałamucić psy.
Muskać = zając muska, t. j. głos wydaje w czasie parkania się zwa-

biając samicę; z tąd muskać — znaczy także wabić zająca.

Majaczyć = krążyć w koło.

Migać = gdy pokazuje się i znika.

Modli się = gdy otoczony psami krzyczy.

Okocić się = płód wydawać.

Parkanie, parkoty = zaspokajanie popędu płciowego.

Pomykać, pomknąć = kiedy ruszył z kotliny lub z miejsca, w którem przypadł.

Pruszyć = gdy odchody z siebie wydaje.

Przycupnąć = kiedy przyczaja się do ziemi w bruzdach lub krzaku.

Przywarować = zając przywarowywa w polu, ubiegłszy kawał od miejsca, w którem był ruszony, t. j. kładzie się na pewien czas w brózdzie bez wygrzebania kotliny.

Płaszczyć się = przychylać się do ziemi, kiedy ptak drapieżny chce zająca pochwycić; n. p. zając przed sokołem płaszczy się.

Pokluczyć = trop na różne strony pomieszać.

Prosi się = kiedy w zimie pod wieś podchodzi.

Rzut = kocenie się, potomstwo u zajęcy. Ponieważ od Marca do Września samica koci się cztery do pięciu razy, przeto mówi się 1-szy, 2-gi, 3-ci i t. d. rzut.

Szustać = gdy zapada się w śnieg.

Słupka dawać = kiedy usłyszawszy jaki szelest, nagle podnosi się na tylnych nogach i uważa; tę chwilę zastanowienia zowią myśliwi słupka dawać.

Strzydz słuchami = ruszać uszami.

Wystrzygać = zając wystrzyga kapustę, jarmuż i t. p. — t. j. objada brzegi liści.

Wysworowywać się = wychodzić na miejsce, skąd łatwiejsza ucieczka.

Żerować = szukać pożywienia.



Gawędy myśliwskie.

W jaki sposób zostałem znakomitym strzelcem.

Przyjechawszy na wakacye (miałem lat 16-cie) spotkał mnie za promocyą niezwykły prezent, strzelba kaliber 24 z wszelkiemi przyborami. Nie trwało godziny, a już uganiałem się wraz z wyżłem »Labanem« za kurami, których w tym roku było bardzo wiele. Wyżeł miał tę przywarę, iż z całą przyjemnością dusił koty w kotlinie.

Słońce miało się ku zachodowi, czas było wracać. Wystrzeliłem około 25 naboi, a tylko 2 kury wisiały przy torbie i 2 zające leżały na rozkładzie, a właściwie w bruzdzie, n. b. zaduszone w kotlinie przez »Labana.«

Zabrałem zające oczekujące w bruździe końca polowania do torby i zawstydzony lichym rezultatem ze smutną miną wracałem do domu, gdy w tem rwie się ogromne stado kur. Nie mierząc, bęc — z obydwóch rur, w środek stada. Spadło 5 sztuk

a reszta jakby im oczy wybrał, leci prosto na gęste druty telegraficzne nad torem kolejowym; któż opisze moją radość, gdy drugich 5 kur spadło, rozbiwszy się o nie i trzepotało się w rowie. Przyniosłem do domu 12 kur i 2 koty.

Na taki rezultat cały dwór był w poruszeniu; rodzice i służba zachwyceni, winszowali jakbym conajmniej ubił smoka i uwolnił Kraków od niego a ja chodziłem dumny jak tryumfator; zapomniałem o wyrzutach sumienia, o kotach zaduszonych i kurach rozbitych na drucie.

Na drugi dzień dopiero stary kucharz, patroszący i skubiąc zwierzynę doszedł tajemnicy, tego wszakżeż nie było trudno zjednać papierosami, których sporą paczkę na wakacye przywiozłem, tak że sława znakomitego strzelca pozostała mi na zawsze. Dziś historyą tę opowiadam Tobie Szan. Czytelniku pod wielkim sekretem i proszę o tem nie rozpowiadać na Kujawach. *Szeliga.*

* *
*

Komu nie dokuczyły już podczas polowania mokre buty? Kto się już w ten sposób nie nabawił kataru lub influenzy? Kogo nie zawiodły buty sprowadzane z daleka w mniemaniu, że będą na pewno nieprzemakalne?

Otóż po różnych próbach doszedłem do przekonania, że takiego fenomenu nie ma na świecie; każdy but po pewnym czasie pije wodę tak łakomie, jak wielbłąd po przebyciu Sachary i jeszcze pragnienie wielbłąda zaspokoić można, lecz pragnienie buta nigdy nie ustaje.

Tak bardzo po różnych pismach zachwalane smarowidła albo niszczą obuwie albo nic a nic nie pomagają.

Poniżej podaję przepis na smarowidło, które każden w domu zrobić może, czego z pewnością nie pożałuje, gdyż pomaga na prawdę, jak się o tem sam przekonałem.

Trzeba rozgotować:

1 kwartę oleju lnianego,
$^1/_2$ funta łoju baraniego,
15 łutów wosku białego,
10 łutów gutaperki.

Jak trochę ostygnie trzeba buty dobrze nasmarować, a wszelkie kichania i katary napewno ustaną, czego wszystkim Czytelnikom życzy na Rok Nowy *Doświadczony.*

* *
*

Powyższy środek i ja polecić mogę jedynie tylko zaklinam na miłość nosów wszystkich domowników, nie iść czasem z preperowaniem powyższej recepty do kuchni domowej; najlepiej iść z tem do kuźni. Inaczej nie obejdzie się jednak bez kichania, a co gorzej, alchemista niepowołany może mieć ten niemiły wypadek, iż przez kogoś, co ma tam prawo wyższe rządzenia, wylanym zostanie wraz z swoim nieprzemakalnym preparatem na ulicę. *Drugi doświadczony.*

* *
*

Niezawodny środek na lisy podaje w niemieckich gazetach Dr. Fritz Skowronnek z Berlina.

Bierze się robaczywy orzech laskowy, proch po robaku wyrzuca się jaknajdokładniej za pomocą cienkiego drucika i wsypuje się szczyptę strychniny za pomocą lejka papierowego. Otwór zalepia się białym woskiem, a orzech macza się w sosie od pieczeni, najlepiej kaczki albo gęsiny. Lisy takie orzechy chętnie biorą a zgryziwszy je padają jakby piorunem rażone. Na przynętę używa

się usmarzonego kota, na około którego położyć należy sześć do siedmiu orzechów tym sposobem przyrządzonych.

Może który z czytelników „Łowca“ zrobi próbę i poda wynik tejże. *S. S.*

* * *

Sposób ten trucia, tylko z pewnemi odmianami, jest dobrze znany zwłaszcza starym myśliwym. Orzech niepotrzebuje być robaczywy, bo to za mozolna praca wsypywać strychninę otworem zrobionym przez robaka, tylko poprostu orzech się rozłupuje i po wsypaniu szczypty strychniny, obydwie połówki zakleja woskiem. Trucizna działa tem sposobem o wiele szybciej; po zjedzeniu orzecha rozłupionego nie ujdzie lis ani sto kroków — podczas gdy cały orzech — jeżeli go przypadkowo nie rozgryzie, skutkować zacznie dopiero po kilku godzinach.

Do smalcu należy domieszać myszodrzewia, co działa lepiej na węch lisa. Sporządzenie powyższej trutki winno się odbyć w rękawiczkach. Kota, który dłuższy czas leżał w końskiej mierzwie, ciągnie się na sznurze za wozem i na tem tropie kładzie się co kilkadziesiąt kroków po jednym orzechu. Miejsca gdzie się truciznę położyło, trzeba zaznaczyć, aby następnie nieużyte wyzbierać można. (Przyp. Redakcyi.)



W Siemianicach ubito w 3 dni (1 w polu, 2 w lesie) w 10 strzelb 492 zające, 430 bażantów i 165 królików. Ogółem sztuk 1087.

Bażantów padło w ciągu roku 730 i to zupełnie dzikich.

* * *

W Rusku u pp. Czarneckich padło 27 i 28 listopada: 669 zajęcy, 14 królików, 24 bażanty, 6 saren, postrzałków znaleziono później: 12 zajęcy, 10 królików, 12 bażantów.

Zauważono dziwną anomalię natury, gdyż bażant uderzał na sarnę jak jastrząb.

Obszar opolowany: 5000 morgów roli, 500 lasu.

Za redakcję odpowiedzialny Wł. Janta-Połczyński, Redgoszcz p. Rombschin.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.